

Człowiek bez skutera.....

Kiedy patrzę na polską politykę ogarnia mnie pewien niesmak. Oczywiście nie tylko mnie. Wielu z nas. Ale jest to coś więcej niż takie niezdrowe podniecenie jakim karmimy się na co dzień. Oglądamy jakieś kurioza, Violettę Villas i jej 68 psów, Wojewódzkiego czy Jolę Rutowicz i podniecamy się niezdrowo ich stanem, ciesząc się jednocześnie, że nie dotknęło to kogoś z nas... W przypadku polityków takie niezdrowe podniecenie to już zupełnie inna historia, gdyż ono deprecjonuje nas samych. Tak sobie myślę, że skoro te kuriozalne osobniki widziane na co dzień w TV są wybrańcami i „elitą” narodu, to w takim razie kim my do cholery jesteśmy? Tacy zwykli Nowakowie, Fryczkowscy, Malinowscy.... No aż boję się pomyśleć. Tak czy inaczej, z perspektywy nizin zwykłego obywatela komentowałem pod nosem spór o stary ruski samolot. Spór jaki wywiązał się pomiędzy prezydentem i premierem. Fakt iż stałem od godziny w korku tylko sprzyjał szorstkiej ocenie sytuacji: *„...przez tych dwóch chorych na władzę ludzi i ich głupi spór o samolot tracimy na wizerunku. Taki Tuski – niewolnik sondaży. I taki Kaczyński - w powiązanych sznurówkach! On nigdy nawet skutera nie miał! „*

Powiązane sznurówki Kaczyńskiego w tanich butach z Tesco widziałem na zdjęciu. Nie wiem u którego z braci, gdyż ich nie rozróżniam. Brak skutera to już sobie dopisałem sam. Właśnie, o co chodzi z tym skuterem? Być może o to, że skuter to środek transportu, który daje poczucie wolności?

A może to przenośnia, którą odnoszę do siebie?

Od zawsze miałem rower. Najpierw Rometa, a potem pięknego, stylowego, ciemnogrnatowego „Karata”. Ależ to był styl.... To tak jakby dziś rower Garry Fisher prawie... Już po roku zapragnąłem mieć motorower Pegaz wraz z wolnością, którą dawał. Potem był komar, a następnie motorynka. Ta motorynka, to w ogóle jedno z przyjemniejszych wspomnień. Jako 13 latek poszedłem do Ojca i powiedziałem po prostu: „kup mi motorynkę..” Odpowiedział że OK, kupi jeśli tylko motorower zmieści się do auta. No i jeszcze tego samego wieczora pędziłem przez wieś nową piękną czerwoną motorynką. Jeździłem motorynką kupioną bez zbędnego smędnienia, jakie jest udziałem nadmiernie wylęknionych, lub niedorozwiniętych umysłowo rodziców bez wyobraźni. Upajałem się prędkością kupioną zupełnie bezwarunkowo. Nikt mi jej nie obrzydził mówiąc : „kupimy ci motorynkę jak będziesz miał czwórkę z matematyki” Nikt mi jej nie zozydzał chorym gadaniem że jestem za mały, albo że na motorach ginie tylu ludzi. Dostałem ją natychmiast, bezwarunkowo i na własność! Na własność, gdyż to ja byłem w dowodzie rejestracyjnym. Pamiętam to niezwykle poczucie wolności jakie mi dawała. To była ekstaza! Od razu też założyłem sobie szeroką kierownicę i rozparty niczym miniaturowy harleyowiec, jeździłem motorynką do szkoły, do kumpli, na religię, do babci i na dalekie wycieczki. Setki kilometrów składające się w tysiące. Oczywiście to były „inne czasy” i nie miałem ubrań firmy Hein Gericke z serii Tuareg, kasku Uvex, rękawic Scott i butów Forma Terrain. Jeździłem bez kasku, w wełnianych rękawiczkach i czapce, w dżinsach i adidasach. Zimą zakładałem wełniana czapkę a pod kurtkę wkładałem gazetę. Kolejne wiosny, kolejne lata, kolejne jesienie i zimy. Odmroziłem sobie palce u rąk i miałem fioletowe policzki. Ale było warto. U ojca w garażu stał pełen kanister z benzyną, żebym mógł

uniknąć niebezpiecznego spuszczenia benzyny z baku auta za pomocą wężyka...



Była między nami jedynie taka umowa, że zgłaszam wyjazdy dłuższe niż jednodniowe. Pamiętam tylko, że ta umowa była przestrzegana mało skrupulatnie. Stojąc w drzwiach mówiłem że wyjeżdżam, a domownicy mówili żebym uważał.

No to uważałem :)

Po latach wyrosłem z motorynki, którą zajeździłem niemalże na śmierć. Ona zepsuła się tylko jeden jedyny raz, ale za to na amen. Potem była fajna francuska Babette, którą miałem tylko kilka dni, ruska Wierchowina która prostą przejażdżkę do szkoły zamieniała w twardą męską przygodę. Jednak prawdziwym znakiem tego czasu była pierwsza licealna miłość i wspaniały Romet 50T3. Ten wygodny, dwuosobowy motorower przenosił nas w jedną krótką godzinę z przybrudzonego Sochaczewa na dalekie, odludne łąki pełne polnych kwiatów, na których spokojnie kochaliśmy się w słońcu. Przenosił nas do Skierniewic, Bożej Woli, Sochaczewa, Teresina, Błonia, Kampinosu, Izabelina i Żelazowej Woli. Słowem dawał nam – zakochanym nastolatkom nieograniczoną, wprost anarchistyczną wolność. Nie było czekania na autobus. A zresztą, autobus nie dojeżdża do śródleśnych polan w ścisłym rezerwacie Puszczy Kampinoskiej? Potem były kolejne motocykle, kolejne historie, kolejne afekty... Teraz stoi w garażu piękne, klasyczne, choć mające już swoje lata enduro. Już sam dźwięk jego silnika jeży mi włosy na karku. Enduro, którym mogę pomknąć wszędzie.... Jeśli tylko zechcę.

I chyba o to chodziło. Mówiąc o braku skutera, miałem na myśli to, że ten kto zaznał tych wszystkich doświadczeń nie będzie się droczył o jakiś ruski samolot. Bo ktoś kto doświadczył tego rodzaju wolności, przesiąkł nią, ba! zaimpregnował się nią, nie spędzi życia w niewygodnych poselskich ławach. Nie będzie dukał farmazonów przed kamerą. Bo soczyste życie nie jest walką o krzeselko w Strasburgu i minuty czasu antenowego, aby być gladiatorem dla nabywców proszku Vizir i tabletek Pani Goździkowej.

Życie mężczyzny to nieskrępowana wolność wyboru i szum motocyklowych opon, gdy jedzie się nocą do zakochanej kobiety.

Cała reszta, to zwykłe gówno.